

Z OPOWIEŚCI MOJEJ BABCI MARI

IWO WIECZOREK

Jest rok 1910. W dalekim Siedmiogrodzie (dawne tereny węgierskie, które po I wojnie światowej przeszły pod panowanie Rumunii), w spokojnej wiosce pod Karpatami, w bardzo mroźną styczniową noc, na świat przychodzi dziewczynka. Z ojca Mikołaja, którego korzenie wywodzą się z Siedmiogrodu – Transylwanii i matki Elżbiety Arnoczky spod Budapesztu - z miasta Vacs (czyt. Wacz), w której żyłach płynie też krew polska. Dziewczynkę tę nazwano Elizabet. To małe dziecko po wielu, wielu dziesiątkach lat i niejednokrotnie ciężkich kolejach życia zostało moją prababcią. Życie tak naprawdę splatało jej jednak dużego figła, którego nigdy się nie spodziewała a na pewno nie oczekiwała. Prababcia przez długie dziecięce lata żyła wraz ze swoimi trzema braćmi (Marcinem, Tyberiuszem i Oskarem) w swojej Transylwanii (mimo, że grasował tam Drakula), pod prawdziwym „kloszem” bardzo bogatego ziemianina, ojca Mikołaja i kochającej matki, ale jednocześnie nie będąc rozpieszczana, ona i jej bracia otrzymali odpowiednie wykształcenie. Synowie studiowali w uniwersyteckim mieście Kluż, prababcia natomiast ukończyła gimnazjum w Brasov (czyt. Braszow) u sióstr zakonnych. Właśnie blisko posiadłości Drakuli.

Mijają lata i 20 letnia prababcia niespodziewanie rozpoczyna nowy piękny rozdział życia, ale jak się jednak później okazało, niezbyt szczęśliwego. Jest 6 grudnia 1929r. - imieniny prapradziadka Mikołaja. Zima zasypała już drogi karpackie białym puchem (tamte tereny nazywano małą Syberią przez mroźne zimy i obfite opady śniegu). Gości to jednak nie przeraża i jak co roku zjeżdżają saniami z okolic, słycać dzwonki przyłączone do koni i wesoły gwar, a wokół ciemność i sroga zima. Wśród gości znajduje się dotąd nikomu nieznan, bardzo przystojny mężczyzna. Jak się później okazało był to niemiecki inżynier budowy mostów, wydelegowany z górnośląskiej huty do Rumunii (do Transylwanii i Beserabii), do prowadzenia kilkuletniej budowy mostów. Kiedy prace zostały ukończone po czterech latach, ten pan wraz ze swoją wybranką, a moją późniejszą prababcią wyjechali w 1932r. już po ślubie do Niemiec. Z tego mieszanego małżeństwa, kilka lat później urodziła się moja, żyjąca do dzisiaj babcia Maria (mama mojego taty).

Moi pradiadkowie po przyjeździe z Transylwanii mieszkali w kilku niemieckich miastach jak Lipsk, Wrocław, Lübben/Spreewald (gdzie przyszła na świat moja babcia Maria), zanim osiedlili się na stałe w Jeleniej Górze - Cieplicach –wtedy Hirschberg – Bad Warmbunn/Riesen Gebirge. Wybrali te tereny, ponieważ mój pradiadek urodził się w tym mieście, a jego rodzice i dalsza rodzina, te tereny Dolnego Śląska zamieszkiwali już od dwóch wieków. Mój pradiadek, czyli ojciec babci Marii, Kurt, od roku 1940 zatrudniony był w „Schlesische Zellwolle – Aktiengesellschaft Hirschberg/Riesengebirge PHRIX” – (późniejszej „Celwiskozy”), do czasu zajęcia tych terenów przez wojska rosyjskie i przejęcia przez Polskę. Babcia Maria była wtedy 4-letnim dzieckiem, ale doskonale pamiętała, kiedy nocą do mieszkania weszli pijani Rosjanie, a jeden z nich wziął ją z łóżeczka na ręce i całując wołał, że bardzo kocha małe dzieci. Możliwe, że w swoim kraju zostawił rodzinę i dzieci. Nie przeszkodziło to jednak w tym, że następnego dnia rano, nie było już auta pradiadka w garażu...

W ten sposób rozpoczął się zupełnie nowy etap w życiu Marii i rodziny. Babcia i jej starszy brat musieli wejść w odmienny, zupełnie nieznan chociażby językowo świat, bo do tej pory w domu

z rodzicami rozmawiali w dwóch językach: niemieckim i węgierskim. Nagle z dnia na dzień wszystko było nowe, obce i zaczynają się tworzyć nowe kłopoty. Ojciec babci Marii nie może wyjechać z rodziną do Niemiec, bo jako długoletni inżynier, pracujący w „Celwiskozie”, musiał uczestniczyć w przekazywaniu firmy polskim właścicielom oraz wprowadzał młodych ludzi w ich nową pracę, za co niejednokrotnie byli mu bardzo wdzięczni. Wkrótce po tych przejściach, na węgierską prababcię spada następny cios, ponieważ toczona walka pradziadka Kurta z ciężką chorobą (gruźlicą) niewiele pomaga. Pradziadek umiera przegrywając z nieuleczalną w tamtych latach chorobą w lutym 1947 r. Prababcia zostaje zupełnie sama z dwojgiem dzieci - swoją babcią i jej bratem.

Następny etap walki samotnej kobiety (cudzoziemki) rozpoczyna się po śmierci jej męża. Pragnieniem prababci jest powrót do Siedmiogrodu (nie do Niemiec), bo tak naprawdę, to całe młode lata, będąc jeszcze razem z mężem, a i później tęskniła za swoim rodzinnym krajem. Niestety mimo usilnych starań, ówczesne władze nie dały zezwolenia na wyjazd. Dlatego te okoliczności sprawiły, że moja babcia Maria pozostała w Polsce. Wzrastała w tym kraju od 5-tego roku życia, nie czując się jednak nigdy wyobcowana. To w Polsce właśnie miała i ma nadal swoje wieloletnie kręgi znajomych, a z dzieciństwa są one najcenniejsze i mimo różnych zawirowań, najpiękniejsze jak twierdzi we wspomnieniach. Na pewno w wejściu w ten nowy wtedy dla niej świat, ogromne znaczenie miało bardzo dobre opanowanie przez nią języka polskiego. Babcia jako mała dziewczynka zapisała się do biblioteki miejskiej w Cieplicach, żeby jak najprędzej opanować język i nie być wyśmiewaną przez inne dzieci. Ogromne znaczenie w tym okresie miała dla niej ukochana nauczycielka w klasach II i III, która bezinteresownie pomagała w odrabianiu prac domowych. Z pierwszych szkolnych lat, w pamięci babci zachowały się jej przeżycia, gdy nauczyła się wiersza Władysława Bełzy „**Kto ty jesteś? - Polak mały**” i dostała bardzo dobrą ocenę a niektóre polskie dzieci nie były tak dobrze przygotowane.

Po zdaniu matury i założeniu już później własnej rodziny, dalej się doksztalała i wiele lat potem pracowała w szkołach z dziećmi. Zawsze starała się i stara nadal utrzymywać mocne więzi rodzinne, szczególnie ze swoimi dziećmi i wnukami, bo jak twierdzi, nigdy za dużo miłości i tolerancji. Bo to wyniosła z własnego domu rodzinnego, to dawało jej przez wszystkie lata ogromną siłę. Podobno silne wrażenia, jakie przeżywa dziecko (chwile strachu, smutku, uczucie przywiązania), odciskają się w jego pamięci tak, jak pieczęć na ciepłej tafli wosku i to chyba jest prawdą, bo przecież do dziś widzi tyle szczegółów i obrazów z przeszłości.

Jestem bardzo zadowolony z takich korzeni rodzinnych, gdyż czuję się przez to inny, ale w tym dobrym słowa znaczeniu. Gdy dowiaduję się o moich korzeniach, są tak ciekawe, że traktuję je jak opowiadanie. Czasami zastanawiam się co by się stało, gdyby np. pradziadek Kurt nie został wydelegowany do Transylwanii, nie pojechał by na imieniny prapradziadka Mikołaja i nie spotkał by się z Elizabet? Co by się ze mną działo? Słuchając tych opowieści mogę śmiało wnioskować, że gdyby nie pewne „przypadki”, wielu rzeczy by się nie zdarzyło, nie był bym teraz tutaj i nie opisywał losów swojej rodziny....

Iwo Wieczorek, wnuk babci Marii

Przodkowie mojej babci Marii



Węgierscy dziadkowie mojej babci Marii

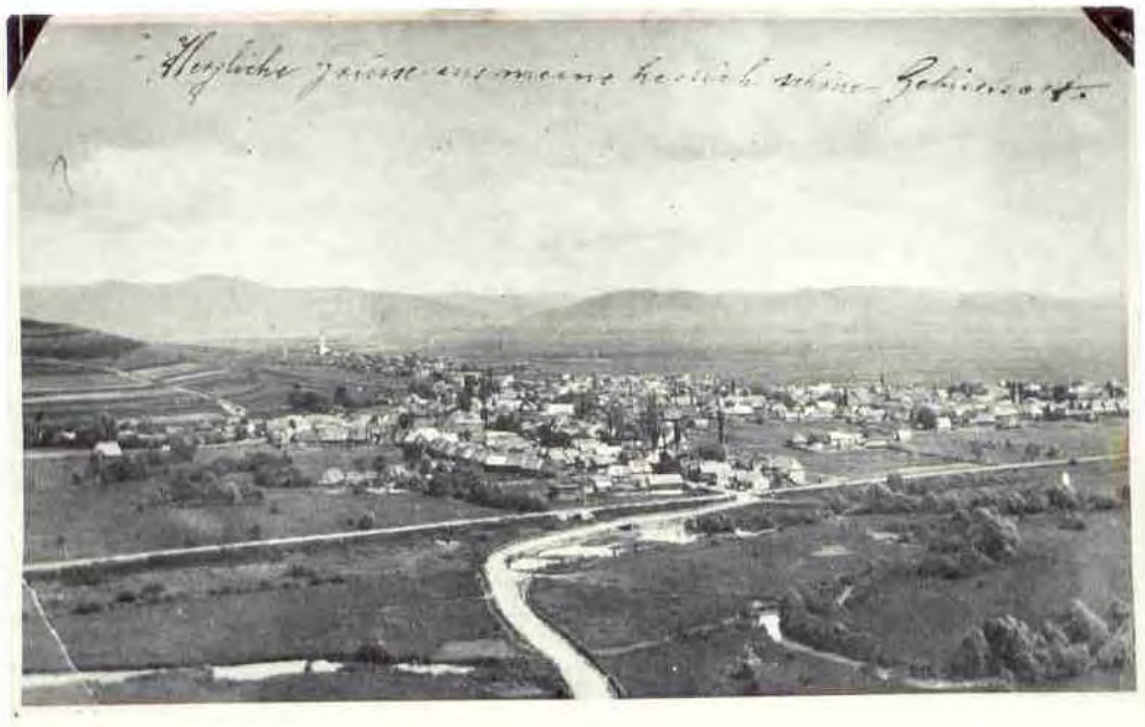


A tu dziadkowie mojej babci z dziećmi.

Ta dziewczynka z kokardą to Elizabet („Bezi”)- przyszła mama mojej babci.



To niemieccy dziadkowie mojej babci Marii na ślubnym zdjęciu w zakładzie fotograficznym-
dzisiejszym „Foto- Zając”.



Panorama siedmiogrodzka skąd wywodzili się węgierscy przodkowie mojej babci Marii.
Czyż to nie przypomina naszej karkonoskiej panoramy, w której mieszkamy?

=====